

Komu służy teatr?

AUTOR: ARTUR DUDA

Wystąpienia zagranicznych gości zjazdu, wielojęzyczne pieśni protestu i obrazy wideo ze świata odsłaniają prawdziwy wymiar pierwszej „Solidarności” – jej globalny, otwarty charakter.

■ W bydgoskim Teatrze Polskim nadszedł czas finału. Dwadzieścia dwie premiery w trzy sezony, spotkania, dyskusje, wykłady performatywne, podejmowana w przedstawieniach tematyka demokracji, postkolonializmu, przemocy, rewolucji, mniejszości, wykluczenia, strategii oporu – a więc stworzenie przez duet dyrektorski Paweł Wodziński/Bartosz Frąckowiak autorskiego teatru krytycznego – nie przekonały władz Bydgoszczy do przedłużenia umowy. Potem wydarzył się przegrany konkurs. Bydgoski Teatr Polski okazał się kolejnym w Polsce dowodem na prawdziwość tezy, że władza ma legitymację, a artyści rację. Nie ma bowiem wątpliwości co do demokratycznego mandatu władzy, można mieć jednak sporo uwag do merytorycznych uzasadnień, które miałyby przemawiać za zmianą kierownictwa teatru.

Na sytuację, w której się znalazł, Wodziński zareagował zgodnie z logiką teatru zaangażowanego, który współtworzył w Bydgoszczy przez ostatnie lata, zaczynając jeszcze jako reżyser i scenograf za kadencji Pawła Łysaka. Przygotował premierę spektaklu *Solidarność. Rekonstrukcja*, materiałem przedstawienia czyniąc stenogramy wystąpień i dyskusji podczas I Zjazdu NSZZ „Solidarność”, jesienią 1981 roku. Sięgnął do gorącego czasu, kiedy w Polsce wybuchła demokracja, w pełnym sensie tego słowa deliberatywna. Kiedy wszyscy mogli wypowiedzieć się we własnej sprawie.

Wchodząc na scenę Teatru Polskiego, gdzie będzie toczyła się akcja spektaklu – na typową salę kongresową ze stołem prezydialnym na podwyższeniu, widownią ustawioną w prostokątne sektory, z ekranami rozwieszonymi na ścianach, mikrofonami rozstawionymi w kilku miejscach oraz z jednym niestandardowym dodatkiem w postaci zespołu rockowego z tyłu

po prawej stronie – przypomniałem sobie wywiad udzielony przez Karola Modzelewskiego „Polityce” w ubiegłym roku. Zwłaszcza jego słowa: „[...] prawda jest taka, że stan wojenny zabił Solidarność. Przetrwał tylko mit. Pamięć o tym, że przez kilkanaście miesięcy byliśmy naprawdę wolni”, „Stan wojenny zabił Solidarność, a transformacja zabiła mit Solidarności”. Wodziński w zręczny sposób sięga po historyczny mit, łącząc zdarzenie, jakim był I Zjazd NSZZ „Solidarność”, z kwestią obecnego kryzysu władzy i demokracji w Polsce, ujawniającego się szczególnie w kontrowersyjnych decyzjach o obsadzie dyrektorów w kilku ważnych teatrach. Z jednej strony z zachowaniem zjazdowej wielogodzinnej gadaniny, patosu przemówień, międzynarodowego wielogłosu, z drugiej – z użyciem chwytów dystansujących w postaci nadekspresywnego odczytywania wystąpienia włoskiego gościa (koncertowe wykonanie Małgorzaty Trofimiuk) czy prześmiesznego występu Jana Sobolewskiego jako przedstawiciela związków zawodowych z Wielkiej Brytanii (wideo w stylu Monty Pythona).

Prawdziwym jednak czynnikiem dystansującym stając się w tym spektaklu muzyka grana na żywo oraz pokazywane na wideo przebitki ze współczesnych protestów antyrządowych w Brazylii, Włoszech itd. Co jakiś czas rozbrzmiewają pieśni nawołujące do solidarności robotników czy zakładania związków zawodowych. Tworzą gorącą atmosferę wiecu, kreują temperaturę dyskusji i audiosferę protestu. Zdjęcia z ulicznych demonstracji w Brazylii ilustrowane są piękną wersją *Murów* Lluísa Llach’a śpiewaną (po katalońsku czy portugalsku?) przez bydgoskich aktorów podzielonych na głosy (pod batutą Karola Nepelskiego). Innym razem zespół rockowy ogłusza widzów son-

giem Billy’ego Bragga *Which Side Are You On?*, wzywającym do walki o wolne związki zawodowe w USA i Wielkiej Brytanii. Trzecia piosenka to zaskakująca anglojęzyczna wersja *Boże mój* Macieja Pietrzyka z czasów karnawału „Solidarności”. Historyczny zjazd staje przed dylematem: porozumienie z władzą albo strajk („cruel strike” z pieśni Pietrzyka). Bydgoski zespół, złożony ze „starych” (jeszcze z zespołu Łysaka) i młodych (czasem naprawdę młodych, jak Magdalena Celmer), pokazuje tu pełną skalę możliwości. Aktorzy świetnie wypełniają swoje zadania aktorskie, muzyczne i techniczne (filmowanie kolegów w rolach delegatów na zjazd).

Przywołując wystąpienia zagranicznych gości zjazdu, wielojęzyczne pieśni protestu i obrazy wideo ze świata, Wodziński odsłania prawdziwy wymiar pierwszej „Solidarności” – jej globalny, otwarty charakter. Dobitnie pokazuje, jak bardzo skurczyła się współczesna „Solidarność” – do rozmiarów własnego podwórka i pilnowania swojego nosa. Druga sprawa to żywioł demokracji deliberatywnej, utkanej ze sporów, emocji, wykuwającej się w wielogodzinnych debatach. Widzimy na ekranie, jak uchwały zjazdu wyłaniają się z wielu wersji zapisu, skreśleń, poprawek i powrotów do pierwotnego brzmienia zdań. To nie dzisiejszy sejm mechanicznego przegłosowywania przeciwników, tylko dopuszczający do głosu zjazd obywateli, dyskutujący nad kluczową sprawą samorządnej Polski, która miałaby się opierać na radach pracowniczych wybierających – bez udziału władzy – swoich dyrektorów.

Ten upiększony obraz demokracji bezpośredniej oddala się od rzeczywistości historycznej w dwóch aspektach: brakuje odkrycia roli agentów SB wmieszanych w tłum delegatów po to, aby bruździć, oraz świadomości momentu

dziejowego. Zjazd licytuje bowiem o wiele za wysoko. Domagając się prawa do wyboru dyrektorów, narusza monopol władzy. W arcyciekawej książce *Modzelewski – Werblan. Polska Ludowa* dwaj historycy i uczestnicy tamtych wydarzeń pokazują całą komplikację sytuacji. Najciekawsze jest jednak, że Karol Modzelewski dystansuje się od rewolucyjnego postulatu odebrania władzy wpływu na obsadę stanowisk kierowniczych. Uważa dzisiaj ów postulat za błąd, gdyż na to wyzwanie „Solidarności” władza musiała odpowiedzieć ostro (wkrótce, jak wiadomo, wprowadziła stan wojenny).

Wodziński nie sięga po argumenty tego rodzaju. W drugiej części spektaklu *Solidarność. Rekonstrukcja*, męczącej zwłaszcza dla widzów niezupełnie zorientowanych w najnowszej historii Polski, wchodzi w niuanse debaty nad zapisami ustawowymi. Okazuje się, że czegoś innego chce Lud (wojowniczo nastawiony do władz PRL), czego innego pragmatycznie zorientowane Prezydium (czyli Krajowa Komisja Porozumiewawcza skupiająca przywódców związku), a jeszcze czego innego Władza (najlepiej, żeby Lud i Prezydium siedzieli znów cicho). W finale następuje zderzenie rzeczywistości historycznej i współczesnej. Piękna rekonstrukcja posiedzenia KKP, czyli Prezydium usadzonego za stołem niczym do Ostatniej Wieczery –

z Lechem Wałęsą (Konrad Wosik) samotnym na jednym jego krańcu i resztą po drugiej stronie, z Jackiem Kuroniem (Piotr Wawer) i milczącym konkurentem Wałęsy Janem Rulewskim (Paweł L. Gilewski). Oczywiście nikt tu nie jest podobny do swojego pierwowzoru, sytuacja jest umowna. Ale ta efektowna scena pokazuje, jak ideały wtłaczane są w ciasne formy dorażnej, kunktatorskiej polityki. Zjazd, czyli Lud wydał z siebie pomruk lwa, Prezydium kombinuje, jak zmieścić się między ideą a rzeczywistością, nad którą kontrolę sprawuje partia, czyli Władza. Mamy jeszcze potem rozpisaną na głosy przemowę Wałęsy – aktorzy rozsiani wokół widowni po kawałku wypowiadają jego słowa, parodiując mazowiecką polszczyznę. Niesterowalny przywódca rebelii zmierza sobie tylko znaną drogą do celu.

Reżysera nie interesują polityczne konsekwencje uchwał zjazdu, lecz na wskroś współczesna możliwość wcielenia w życie postulatów z 1981 roku. Jak pisze Igor Stokfiszewski w programie spektaklu: „Czy możliwa jest instytucja kultury, której materialne podstawy przybierają kształt zbliżony do spółdzielczości, podstawy organizacyjne do kolektywnej wytwórczości, zaś zarządcze do demokracji bezpośredniej?”. Dlatego też w finale przedstawienia pojawiają się na ekranie fragmenty roz-

mowy aktorów z reżyserem dotyczącej powołania do istnienia własnego kolektywu twórczego, zasad jego finansowania i podejmowania decyzji.

Naprawdę bez złośliwości chciałbym zwrócić uwagę na paradoks zestawienia debaty KKP z udziałem przywódców „Solidarności” – w większości o robotniczych korzeniach – z debatą artystów, do której nie został dopuszczony nikt z pracowników administracyjnych czy technicznych Teatru Polskiego. To nie jest dobry dowód nawiązania do mitu pierwszej „Solidarności”. Wygląda to raczej na spotkanie grupy zakładającej własny teatr alternatywny. Wbrew władzy, a raczej mimo władzy. Ale to nie jest w pełnym sensie tego słowa demokracja deliberatywna, tylko elitarny, lewicowy projekt. Przypomina mi się chór Volksbühne złożony z pracowników technicznych i administracyjnych, „robiących rewolucję” w spektaklu Franka Castorfa *Maßnahme/Mauser*. M rację zabierający głos w rozmowie artystów Maciej Pesta, że teatr nigdy nie wywołał rewolucji. Prawdziwą rewolucję przeciw Władzy może przeprowadzić tylko Lud. Nie zmienia to faktu, że scena może służyć jako przestrzeń dyskusji o ideach. A tę akurat funkcję Teatr Polski w Bydgoszczy za dyrekcji Wodzińskiego i Frąckowiaka wypełniał całkiem dobrze. ■